



# WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Fig. 35. Polipnik drzewkowaty, rozkonarek z mórz europejskich.



Fig. 36. Gałązka rozkonarka. 1) Polipy rozwinięte. 2) Polipy wyrwane, pozostały tylko ich siednie.

## ZYCIE W OCEANIE

PRZEZ

Dr. M. Stefanowską.

(Dalszy ciąg).

### Polipniki i wyspy koralowe.

Wiemy już, że u wielu gatunków koralu, wytwarza się twarde szkielet wapienny lub rogowy zwany *korallowiną*, dzięki czemu drobne te istotki wraz z pierwotnikami mają nader doniosłe znaczenie na naszej ziemi, ponieważ wciąż budują nowe skały i tym sposobem przyczyniają się do powiększenia ilości suchego lądu. Tam zaś gdzie ląd powoli zapada się pod wodę, jak się to w wielu miejscach zdarza, koral budując wciąż nowe warstwy wapienne, wstrzymują czas jakiś zniknięcie tego lądu.

Mówiliśmy już, że koralowce wytwarzają w ciepłych morzach rafy i wyspy koralowe; zobaczymy teraz jak się to dzieje. Wiemy, że każda kolonia osiadłych polipów powstała pierwotnie z jednego polipa, który wypuszczał na wszystkie strony pączki i wydał tym sposobem na świat wiele innych polipów, z których każdy postępował podobnie jak ich pierwszy rodzic; tak powstał po pewnym czasie krzaczek, drzewko lub też mniej wyraźna zbita masa wapienna. Widzimy więc, że zwierzęce krzaki powstają zupełnie w taki sposób jak krzaki roślinne. Wszystkie polipy połączone są z sobą za pomocą pnia i gałązek, będących przedłużeniem ich ciała. Polipy nie mogą opuszczać swego miejsca gdyż zrosły się ze sobą dolnymi częściami ciała, ale górna część polipa wraz z mackami jest ruchoma i może wysuwać się z zagłębienia, w którym polip jest osadzony, lub też do niego zupełnie się schować. Gdy polipy rozwiną swe macki, wówczas krzak jest jakby kwiatami okryty, a gdy się zwierzątka pochowają do kryjówek, to na powierzchni pnia widać tylko ciemne plamki. (Patrz fig. 35 i 36). Koral szybko się mnoży, ale też krótko żyje. Po śmierci ich wszystkie miękkie części rozkładają się, woda wypłócze te cząstki i pozostanie jedynie twarde szkielet. Zupełnie to samo dzieje się po śmierci konia lub innego zwierzęcia

kręgowego; znajdujemy niekiedy na polu same tylko kości, przypominające nam kształt zwierzęcia.

Wymieranie polipów zaczyna się u spodu krzaku, gdyż tam są najstarsze zwierzątka; ale w miarę jak dolne gałązki wymierają, górne dalej rosną i mnożą się, budując wciąż nowe zapasy koralowiny i nie troszcząc się bynajmniej o to, że budowle swe opierają na cmentarzu dawnych swych współbraci. A jak w lasach stare, spróchniałe drzewa okryte są porostami i mchem, tak i na obumarłych częściach polipnika, wyrasta mnóstwo innych żyjątek, które również wydzielają wapno, i tym sposobem wzmacniają koralinę.

Zdarza się często, że fale łamią i wyrzucają na brzeg żyjące gałązki polipnika, ale uszkodzenia te zostają łatwo naprawione, polipnik bowiem odrasta jeszcze szybciej, niż skoszona lub podeptana trawa.

W morzach europejskich, polipiuki nie są zbyt liczne, oprócz rozkonarka żyją jednak korale, należące do rodzajów *Gorgonia* (fig. 37), *Meandrina*, *Astraea* (*gwiazdnia*) i innych, wysuszone ich koraliny służą często do ozdabiania naszych etażerek.

Natomiast w ciepłych morzach korale są niezmiernie rozpowszechnione, w morzach międzyzwrotnikowych tworzą one maluczkie lasy, tak jak wodorosty, a gdy są miękkie, jak na przykład *Gorgonia*, to służą za pokarm mięsożernym mięczakom, które obrały sobie siedlisko w tych morskich lasach.

Korale rosną w gorącym klimacie tak szybko i tak licznie, iż budują całe wyspy i potężne rafy koralowe, będące postrachem dla żeglarzy. Wyspy koralowe łatwo jest odróżnić od innych wysp, ponieważ mają zwykle kształt pierścieniowaty, niekiedy są zupełnie okrągłe jak prawdziwe pierścienie i okalają jezioro wewnętrzne, zwane laguną. Wyspy takie nazwano *atolami*, tworzą niekiedy długie łańcuchy na morzu. Między wyspą koralową a rafą jest ta różnica, że rafa powstała z budowli koralowców, nie wydzwignionych jeszcze nad powierzchnię morza; gdy rafa wydostanie się nad powierzchnię, wówczas nazywamy ją wyspą; korale wymierają a budowle ich mogą stopniowo okryć się zielonością.

Dzieje się to dosyć szybko. Fale nioszą wciąż z sąsiedniego wybrzeża piasek, który osadza się na skale koralowej. Z czasem na jej powierzchni powstaje cienka warstwa rodzajnej ziemi, a na niej prędej czy później zakiełkują nasiona roślin, zabrane z jakiegoś odległego częstokroć lądu, zwłaszcza kokosowe orzechy znoszą długą wędrówkę po morzu. Wysepka okrywa się początkowo drobną roślinnością, a później, gdy morze naniesie więcej ziemi, wyrastają na wyspie i drzewa, pływające jak tratwy po morzu; pnie drzew przynoszą z sobą owady i robaki i oto młody gaj ożywia się zwierzątkami, a wówczas zawitają tu ptaki i ukrywają swe gniazda w zieleni. Niekiedy rodzina rybacka pociągnięta z daleka pięknnością wyspy, obejmuje w posiadanie tę nową ziemię i buduje chatkę nad brzegiem strumyka, który stopniowo powstał z wody deszczowej. Powoli wysepka staje się zaludnioną.

Tak powstało mnóstwo wysp, obecnie zamieszkałych przez ludzi; niektóre wyspy koralowe okazały się nawet w naszym stuleciu. Korale nie tylko budują nowe wyspy, ale łączą ze sobą wyspy rozłączone w jeden ląd obszerniejszy.

(d. c. n.)

# ODZYSKANY.

POWIEŚĆ

przez

Karzę Łopuszańską.

(Dalszy ciąg).

— No, to dalej, za mną! Zaledwie uszki kilkadziesiąt kroków, kiedy ujrzeni słup dymu wznoszący się z wnętrza jaru, a zarazem doleciał ich gwar głosów zmieszanych. Bandura przykląkł, prawie położył się na skale i spojrzął na dół. Na samym dnie jaru, dokoła jakiegoś spalonego futuru, rozłożyli się Tatarzy całym taborem z końmi i wozami. Budynki dopalały się jeszcze i woń spalenizny wznosiła się w górę. Na boku stało stado bydła i owiec zrabowanych, strzeżonych przez dwóch Tatarów ze spisami. Inni siedzieli wokoło rozpalonego ogniska, gotując strawę, inni znów oczekując kilku powiązanych łykami jeńców. Jeden siedział i przygrywał na piszczałce, wydającej piskliwe tony. Widocznem było, że rozłożyli się z całym bezpieczeństwem, nie spodziewając się napaści żadnej. — Bezpieczne psiawiary, mruknął Bandura. Obejrzał się na swoich: było ich dziesięciu, Tatarów zaś trzydziestu — liczba nierówna. Jakiś czas się ważył, co ma uczynić wreszcie skinał na swoich ludzi, którzy stali oczekując tylko jego rozkazu. Sciana jaru była w tem miejscu stroma, ale porosła krzakami co ułatwiało zejście; dziesięciu podkomendnych Bandury w jednej chwili spuścili się na dół jak lawina i z okrzykiem wpadli na obóz tatarski. Napaść była tak nagła, tak niespodziewana, że Tatarzy utracili zupełnie przytomność na razie, zwłaszcza, że nie mieli pojęcia o liczbie swoich przeciwników. Popłoch się zrobił okropny, jedni biegli na miejsce gdzie stały konie i chwytając za grzywę pierwszego lepszego chcieli uciekać, lecz w tem zamieszaniu owce i bydło słoczyło się w ciasnem przejściu i zagradzało drogę do ucieczki. Napastnicy rzucili się, siekąc na wszystkie strony; lecz wreszcie Tatarzy się upamiętali również i postarzelgi, że mają do czynienia z garstką ludzi. Natychmiast skupili się w pozycyi obronnej, a nawet próbowali otoczyć przeciwników. Juraś wciąż się trzymał u boku Bandury, według zaleceń tego ostatniego; w chwili, gdy walka stała się najzgorzalszą, jeden z Tatarów podniósł szablę nad głowę Bandury, który w tej chwili ucierał się z drugim i nie spostrzegł wcale wymierzonego ciosu, lecz Juraś w mgnieniu oka rzucił się na napastnika i ciał go tak silnie po karku, że od razu trupem go położył. Była chwila kiedy zdawało się, że tych dziesięciu śmiazków zostaną pochłonięci przez znacznie szerszą liczbę nieprzyjaciół, lecz wkrótce szczęście przechyliło się na ich stronę, gdyż jeden z nich zdołał porozcinać więzy jeńcom, którzy natychmiast wzięli udział w walce, a że to wszystko byli chłopci młodzi i silni, bo takich tylko Tatarzy starali się brać w niewolę, więc umieli im dać się zaraz we znaki. Juraś ujrzał nagle jednego Tataru, znać ze znaczniejszych, przyskakującego ku sobie na koniu, ujrzał jego twarz porosłą rzadkim włosem pochyloną ku sobie blisko, a oczy skośne, małe i jakby zapuchłe, spoglądały na chłopca z dziką chciwością, widocznie myślał sobie, że byłby to jeniec bardzo pożądanym i cenny. Gdy więc Juraś zasłoniwszy się szablą, czekał ciosu, on tymczasem pochylił się do strzemienia gdzie miał związany arkan i wzniosłszy go w górę w mgnieniu oka zarzucił go na szyję chłopcu.

— Do mnie Bandura — krzyknął Juraś, czując jak go arkan dusi nie mogąc się wydobyć z tych pęt. Szczęściem Bandura dosłyszał krzyk jego i przebijając się przez tłum, zdołał stanąć przy boku swego wychowańca w chwili, gdy Tatar już wspiął konia i chciał uciekać ze swoją zdobyczą. Wściekły i zrozpaczony rzucił się w ślad za nim, lecz mu znów zagroził drogę jakiś Tatar. Ciał go przez łeb i popędził dalej.

— Chłopcyl — krzyknął, widząc, że Tatar ze swą zdobyczą coraz przed nim umyka — chłopcy, ratujcie!

W krzyku tym było tyle rozpaczyl, że kilku rzuciło się w tę stronę. Zaczęli gonić za Tatarem, który pomykał jarem, wlokąc na arkanie chłopca. Na zakręcie jednak, gdzie leżał wielki kamień, koń potknął się na przednie nogi, podniósł się jednak i popędził dalej. Juraś, chociaż na pół zduszony nie tracił jednak przytomności, myśli przez głowę przelatowały mu jak błyskawica. Szczęściem prawą rękę miał wolną i tą trzymał się za siodło by nie upaść; wtem oko jego spooczyło na bogato oprawnym kindzale, który Tatar miał za pasem. W chwili, gdy koń się potknął poraz drugi i padł na przednie nogi, a Tatar go podnosił, Juraś szybko wyrwał mu z za pasa kindzyl i przeciąwszy arkan w dwóch miejscach, uwolnił się z więzów. Tatar zajęty podnoszeniem konia ani się spozstrzegł, jak chłopiec porwał go za nogę i ściągnął z konia, a w tejże samej chwili nadbiegli na pomoc Bandura i inni. Zastali dwóch przeciwników mocujących się z sobą na ziemi; Tatar, jako silniejszy, byłby wziął górę niechybnie lecz Bandura przyskoczył, porwał go za kark jak duży pies małego psiaka i rzucił nim z całej siły o ziemię. W tejże chwili inni rzucili się i skrępowali go postronkami. Bandura tymczasem chwycił Jurasia w objęcia, trzęsąc nim aby się upewnić, że jest zdrów i cały.

— Aleś się tego spisał, no, no! — powtarzał. To nic, żeśmy na sam koniec przyszli ci w pomoc, jednak sprawiedliwie rzecz można, że ty wziąłeś tego jeńca. A gdzież on jest ten psiawiara?

— A tutaj — ozwał się jeden z chłopów. — Dobrzeście nim grzmotnęli o ziemię, aż zajęczało.

— A wiecie, że to nie prosty Tatar, szablę ma piękną, turkusami nabijaną — ozwał się drugi. Może jaki aga tatarski. Toż się ucieszy pan Wreszczyatyński gdy mu takiego dostawimy jeńca — rzekł Bandura, a ja powiem kto go pojmał.

Tymczasem obóz tatarski został zupełnie rozgromiony przez chłopów; kilkunastu Tatarów zabito, trzech schwytano, a reszta rozpierzchała się w popłochu, zostawiając łupy zrabowane na polu walki. Bandura powracał tedy w tryumfie ze swą drużyną i wyzwolonymi jeńcami, pędząc przed sobą stado bydła, odtętego Tatarom. Po drodze dowiedzieli się, że pan Wreszczyatyński rozłożył się we wsi Prochorówce, czekając, aż ściągną inne hufce. Po południu byli już tam i Bandura zdał sprawę natychmiast panu Wreszczyatyńskiemu z całej wyprawy, oddając mu zarazem pobranych jeńców. Najcenniejszym wśród nich był ów Tatar pojmany przez Jurasia i Bandura rozповідаł starem jak się to stało.

— Juraś! — rzekł pan Wreszczyatyński, przypominając coś sobie — wszak to mój chrześniak cośmy go ze stepu przywieźli. Gdzie on jest?

— Tutaj, panie poruczniku — odrzekł chłopiec, całując jego rękę. Pan Wreszczyatyński pogłaskał go po głowie, poczem podniósł mu twarz i spojrział w nią badawczo.

— Zuch się zrobił z ciebie chłopce — rzekł po chwili — ja bo cię pamiętam jeszcze ot, takim. A chciałbyś zostać przy mnie i razem polować na Tatarów?

— Chciałbym i dawno już tego pragnę — odparł Juraś, spoglądając mu również w oblicze.

— Toć przecie dziecko naszego hufca, panie poruczniku — rzekł Bandura — to i powinno być tak, by przy was uczył się wojować.

— Więc dobrze, od dziś zapisanym jesteś jako nowy żołnierz naszej milicyi; myślę, że wstydu nie przyniesiesz chorągwi, co?

— W Bogu nadzieja, panie poruczniku — rzekł Juraś, któremu oczy zabłyśły z ukontentowania.

— Dobrze chłopce, że z Bogiem zaczynasz, kto z Bogiem, Bóg z nim.

Niedaleko od nich stał młody Janusz Mrozowski i słyszał wszystko; gdy Juraś przechodził koło niego rozpromieniony, panicz spojrział nań ciekawie, ale zaraz potem na twa-

rzy jego odbił się wyraz nieco wynioślejszy i rzekł głośno do szlachcica, który stał obok niego:

— Nie spodziewałem się, że chłop okaże się tak mężnym ale coprawda zrobił to w obronie własnego życia.

— Rzecz oczywista — odparł szlachcic. Śmiałość mu jednak z oczu patrzy — dodał przypatrując się chłopcu.

— Chciałbym mieć go w swej służbie — rzekł Janusz, nie spuszczaając z oka Jurasia, który zarumieniał się mocno słysząc te słowa. Byłby z niego wierny pacholek. Hej, chłopce — dodał — czyś ty już naprawdę zapisany do milicyi? ozwał się szlachcic zwracając się do Jurasia.

— Pan Wreszczyatyński powiedział że od dziś mam być zapisany.

— A czyj ty? — spytał go Janusz z pewną wyższością.

— Niczyj, wolny jestem — odrzekł Juraś podnosząc głowę.

— A możebyś wolał przejść do mnie na służbę, byłoby ci lepiej niż w stepowej chorągwi.

— Chorągiew ta była mi matką i ojcem i dlatego jej nie opuszczę. Zresztą pod panem Wreszczyatyńskim można prędzej wyjść na rycerza, niżeli pod innym.

— Fiu, fiu, toć mu się i o rycerstwie marzy — rzekł szlachcic szyderczo — a kiedyż waści powitamy rotmistrzem chorągwi husarskiej?

— Tego nie wiem, wiem tylko, że meztwo nieraz więcej znaczy niż urodzenie — odparł Juraś śmiało i spokojnie. Nie nowinać to, że ten co się bił dzielnie został szlachcicem.

— Czemu nie? — odparł szlachcic zanosząc się od śmiechu — i ty nim zostań mój chłopce. Czołem, czołem, panie bracie, raczcie przyjąć moją pokorną submisję.

— Dajcie pokój, panie Kurkowski — przerwał Janusz — nie godzi się chyba drzwi z tego, że i w podlejszych stanach widzimy szlachetną ambicję. A toć on prawdę mówi; samiście przecie powiadali, że wiele zacnych dzisiaj rodów wyszło z krwi chłopskiej.

— No, nikt temu nie przeczy, choć to tam mała pociecha z owej szlachty świeżo upieczonej. Długo czekać trzeba, aby różnice się zatarły.

— Wiem ją to dobrze i rozumiem, że żaden chłop nie pojmie nigdy, co to jest istic rycerska fantazyja, która za nic waży życie bez sławy i...

— Oczywiście, oczywiście, waszmość bardzo pięknie to wyraziłeś. Żaden chłop tego nie pojmie!

Juraś słysząc to chciał zawołać:

— A ja was przekonam, że pojmie! lecz wstrzymał się:

— Przekonam ich lepiej w pierwszej bitwie! — pomyślał.

Jeszcze dotąd nigdy nie zastanawiał się nad tem; wciąż żyjąc oddalony od świata nie zdawał sobie sprawy, co to jest człowiek bez rodu, nie szlachcic, chłop, jak go dziś nazwano. Dopiero dzisiaj dano mu uczuć o ile jest niższym.

— Nad czem tak myślisz, chłopce? — pytał go Bandura, nadchodzący w tej chwili od swoich ludzi, którzy się nieopodal rozłożyli. Wiesz, jeńce wyznali, że główny czambuł tatarski puścił się w stronę Kałusza; może go tam pan Struś nagoni, a my także zaraz ruszamy tamtędy.

Tu Juraś rozpowiedział mu całą rozmowę z Kurkowskim i Januszem.

— Ha, dobrze to, że cię pan Wreszczyatyński bierze do swej chorągwi, bo pod nim nauczysz się niejednego. A co tamci gadają to nie słuchaj, obaczmy niedługo, kto lepszy czy ten Kurkowski o którym słyszałem, że tchorzem podszyty, czy ci co się biją dobrze choć szlachectwa nie mają zapisanego piórem na papierze, lecz szablą tatarską na łbie i na piersiach:

— Chciałbym jednak wiedzieć, kto byli moi rodzice? — rzekł Juraś w zamyśleniu.

— Trudno to wiedzieć; albo to mało u nas jest ludzi co to nie wiedzą z jakiego rodu pochodzą, bo ich Tatarzy małymi w jassyr pobrali. Nie frasuj sobie tem głowy chłopce, a lepiej żyj tak aby ci nikt nie śmiał uragać żeś źle urodzony.

Z takimi zaś co nosa zadzierają, najlepiej trzymaj się zdaleka ale im nie ustępuj kroku, gdy idzie o sławę.

Niedługo potem pan Struś dosięgnął główny czambuł tatarski, u przeprawy na Dniestrze zaszła bitwa stanowcza. Juraś dotrzymał słowa danego samemu sobie, bił się mężnie, teraz u boku pana Wreszczyńskiego. Było to już nad wieczorem, Tatarzy dostawszy się do brodu, chcieli przepawić się z łupami i jeńcami na drugą stronę, kiedy dziesięć-kroć mniejsza garść ludu pod wodzą pana Strusia wpadła na nich z nienacka. Tatarzy, widząc taką małą liczbę przeciwników stanęli do walki, pewni wygranej. Chmury strzał posypały się najpierwej, potem z dzikim krzykiem powtórzonym przez echa skał nabrzeżnych rzucili się na oddział Strusia.

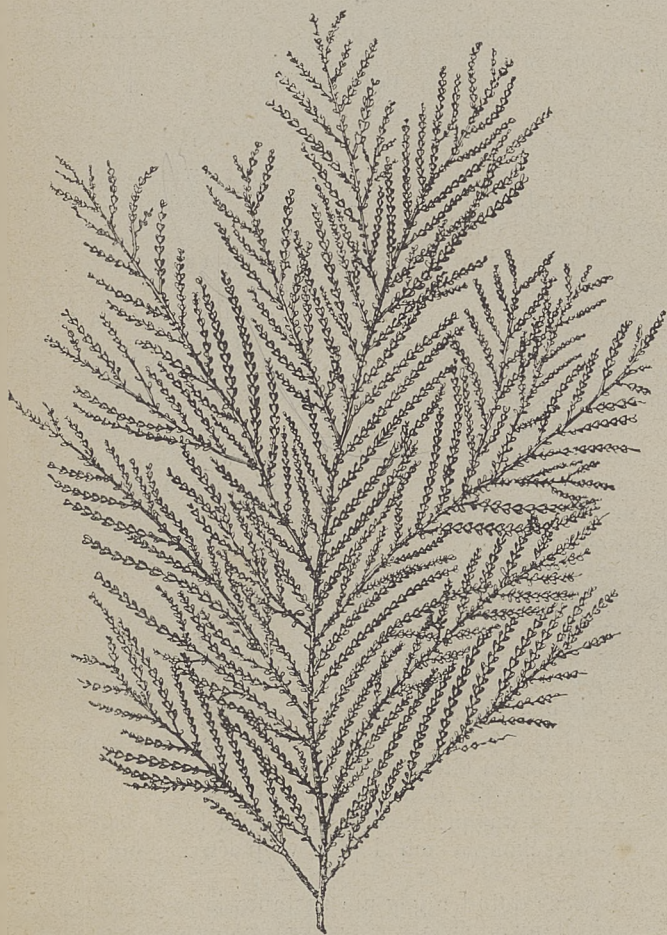


Fig. 37. Gąsienica (Gorgonia). Wielkość naturalna.

Zachodzące słońce wyjrzało z poza sianej chmury, a w promieniach jego zabłysły oszczepy i spisy. Bitwa trwała nie dłużej jak pół godziny; pierwsze natarcie tatarskie odpartem zostało mężnie, mały hufiec nie dał się otoczyć, lecz rąbał na wszystkie strony i przetorował sobie drogę aż na sam brzeg Dniestru. W kupach tatarskich powstało zamieszanie, chcieli swoim zwyczajem uchodzić, lecz żal im było łupów, nagromadzonych na wozach oraz jeńców; jeszcze raz więc natarli lecz zostali odparci ze stratą. Wtedy zawrócili się do ucieczki; niektórzy wprost z wysokiego brzegu rzucali się wpław przez rzekę, drudzy próbowali jeszcze bronić jeńców i łupów. Hufiec Wreszczyńskiego wsiadłszy im na karki, ścigał ich aż za Dniestr i powrócił dopiero aż po zachodzie słońca do taboru przy którym zostało na straży kilkudziesięciu jeźdźców. Dopiero obstarpił Strusia zewsząd jeńcy, oswobodzeni z łyk tatarskich i poczęli mu dziękować, jak zbawcy swemu. A było tam sporo i młodych dziewcząt i mężatek z niemowlętami na ręku i dzieciak nieletnich i dorodnych mołojców wiejskich. Ci, co byli z stron najbliższych

zaraz powracali do siebie, dalsi zostali przy taborze do jutra nie chcąc nocą puszczać się w drogę.

Znajdowało się tam dość rodzin szlacheckich, zwłaszcza z uboższej szlachty, tym pan Struś obiecał, że da nazajutrz oddział żołnierzy by ich odprowadzili do Baru. Rozłożono obóz nad Dniestrem, w którego wodach odbijały się licznie rozpalone ognie — pan Struś bowiem postanowił czuwać u przeprawy by Tatarzy czasem nie zechcieli powrócić, ile że wiedzieli jak słabymi rozporządzał siłami i mogli się pokusić o odbicie jeńców i łupów. Więc też surową czujność rozkazał w obozie i sam go obszedł dokoła, pilnując, by straże nie zmrzyły oka. Srodze się też rozgniewał, dowiedziawszy się, że hufiec Morozowskiego wyrusza z obozu bez niczyjego pozwolenia. Zły i gniewny, rozkazał sobie podać konia i pośpieszył na przeciwny koniec obozu, gdzie już oddział stał uszykowany do drogi. Ujrawszy Janusza na koniu, poskoczył ku niemu i krzyknął gromiącym głosem: — A cóżto waści myślisz się tu samowolnie rządzić pod mojami rozkazami? Kto ci pozwolił obóz opuszczać?

— Ojciec mi polecił bym natychmiast po bitwie wracał do domu — odparł Janusz, rumieniąc się.

— A to z ojca waścinego musi być przedni głupiec, skoro sądzi, że po bitwie już służba rycerska skończona. Widać nie słyszał o tem, że nieprzyjaciel raz pobity, może jednak wrócić i nas pobić? — zawołał pan Struś z szyderstwem.

Na te słowa twarz Janusza spłonęła jeszcze mocniej.

— Panie rotmistrzu — rzekł drżącym od gniewu głosem — możecie gromić mnie jeśli wola, bom młodszy i zostaję pod waszemi rozkazami, a ojcu memu nie uwłaczajcie, bo przebóg, mogę zapomnieć, że stoję przed mężem starszym i zasłużonym!

— A, ty, zuchwały młokosie, jak śmiesz mówić tak do mnie! — krzyknął pan Struś w najwyższym gniewie. Czyż zapomniał, że dokąd jesteś w obozie, pozostajesz pod moją władzą? że potrafię cię nauczyć posłuszeństwa i karności. Hej, z koni! — krzyknął na hufiec uszykowany — nikomu nie wolno wyruszyć z obozu bez mego pozwolenia! A z waściami rozmówimy się później — dodał, zwracając się do Janusza.

Groźny i rozkazujący głos nie pozwalał się namyślać, oddział Janusza został więc w obozie.

Juraś po powrocie z pościgu za Tatarami, począł obchodzić obóz dokoła, szukając Pawła, kiedy natknął się na gromadkę jeńców, która pozostała tu do jutra. Między innymi spostrzegł niemłodego szlachcica, a przy nim młodziuchną pannę. Szlachcic śnać był cięty w głowę, leżał bowiem na ziemi, a córka podtrzymywała go na swoich kolanach.

— Bardzoście słabi, tatuńciu? — pytała troskliwie nachylając się nad nim.

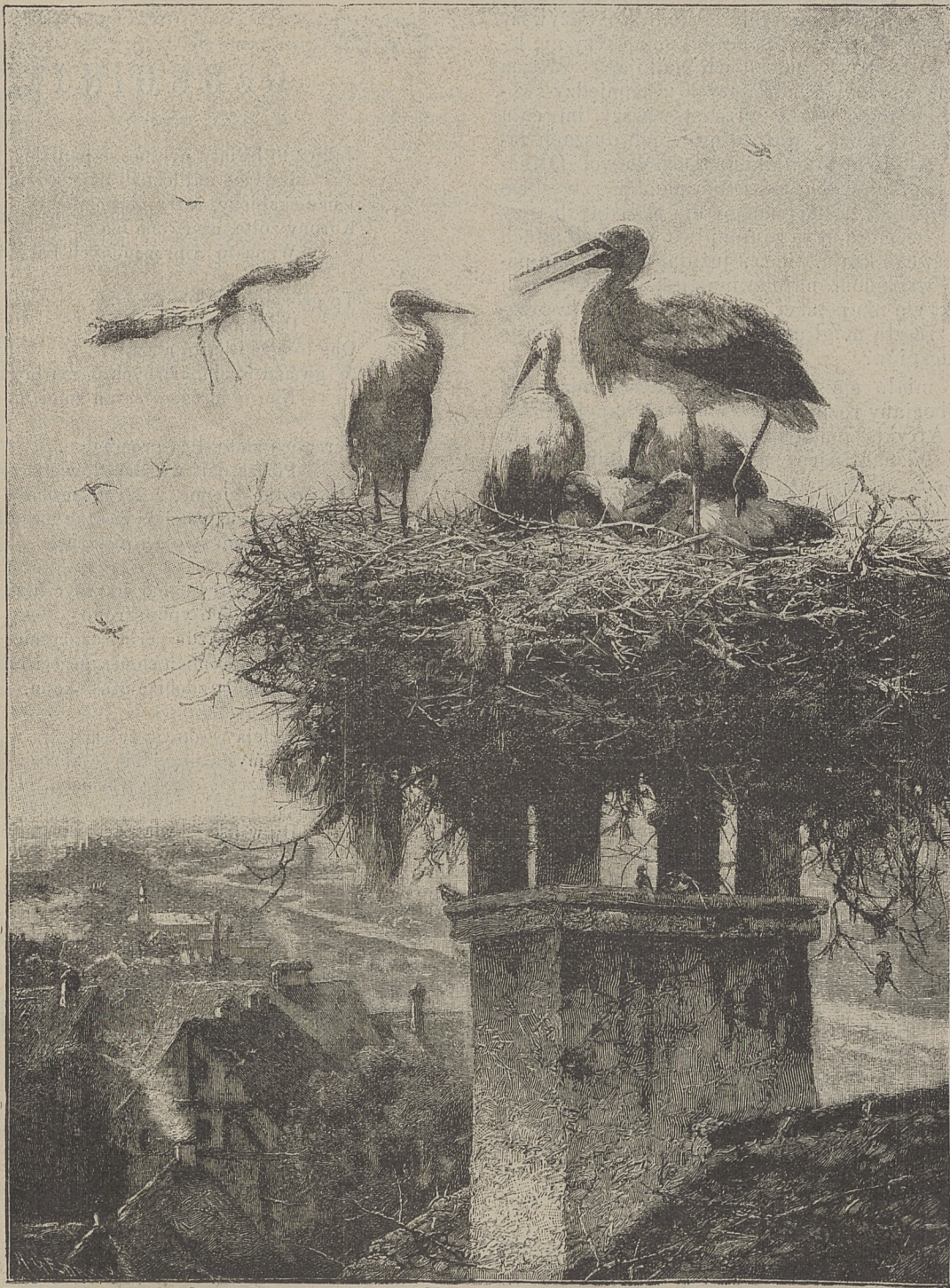
Miała miłą, ładną twarz, siwe oczy i długie warkoczki ciemne. Juraś ujrawszy ją, pomyślał sobie, że jeszcze odkiedy żyje, takich włosów nie widział. Panienska zaś, zoczywszy go rzekła z prośbą.

— Mój ojciec ranny, ja odejść nie mogę, czybyście nie zechcieli przynieść mi wody?

(d. c. n.)

## UROCZYŚĆ BOCIANÓW.

Miasto Tripolis stanowiące niegdyś część starożytnej Kartaginy, obchodzi corocznie w dniu 20 listopada, tak zwaną uroczystość bocianów, w której przyjmuje udział nie tylko miejscowa ludność, ale wraz z nią mnóstwo mieszkańców dalszych okolic Afryki, położonych nad brzegami morza Śródziemnego.



Gniazdo z bocianami.

Jest to dla tych ostatnich rodzaj pobożnej pielgrzymki, dla uczczenia grobu Sulejmana proroka, o którym przechoduje się dotąd następująca legenda: W czasie kiedy ów mąż wsławiony świętobliwością żył w Tripolisie, znajdowało się na stałym lądzie Afryki wielce drapieżne plemię Dżinów. Dżinowie ci pod ogólnem imieniem Ben-Ihebrów, zajmowali rozległą przestrzeń graniczącą z pustynią Kummady, pomiędzy Tripolisem i Fezanem. Stanowili oni naród bitny i potężny, ale zarazem zepsuty aż do szpiku kości, a tem samem nader groźny dla sąsiadów. Żaden z ówczesnych monarchów afrykańskich nie mógł go podbić pod swoje berło. Rozważywszy tę okoliczność, prorok Sulejman pomyślał sobie, czy nie lepiejby było nawrócić Dżinów, zamiast ich podbijać. W tym więc celu w szał do nich najświętobliwszych z pomiędzy swoich uczniów, z poleceniem ażeby przedstawili im całą brzydotę występków, obudzili jednocześnie w ich duszach zamiłowanie cnoty. Ale było to oplakane apostołstwo, Dżinowie bowiem zamiast przejąć się zbawienną nauką, rzucili się na wysłańców Sulejmana i ani jednego nie pozostawili przy życiu. Niegodziwi ci mordercy zaufani we własnych siłach i nieprzystępności swego kraju, nie raz już dopuszczali się podobnych nadużyć względem najniebezpieczniejszych ludzi, byli więc pewni, że nikt się nie pomści za tę krew niewinnie przelaną, bo i któżby zresztą mógł uwiadomić Sulejmana o losie jaki spotkał jego uczniów?

Tym razem miało się jednak stać inaczej, niż sobie wyobrażali, gdyż bociany rozpleniłone w niesłychanej liczbie w owej stronie Afryki, pomięszaly im plany. A są to jak wiadomo ptaki odznaczające się wzorowemi obyczajami i rzadką zmyślnością, a mając przytem tak zdrowe pojęcie, że jak opiewa legenda afrykańska, nigdy nie zakładają gniazd w pobliżu żadnego miasta, którego obraz był kiedykolwiek odbitym na jakiejś monecie, wychodząc z tej zasady, że pieniądze są przyczyną wszystkiego złego na świecie, ponieważ stanowią najsilniejszy bodziec, do popchnięcia człowieka w otchłań zgubnych wad.

Poczeiwe zatem bociany, zostawszy mimowolnemi świadkami tej nowej zbrodni Dżinów, postanowiły jednogodnie odlecieć na zawsze z ich kraju, a zarazem oznajmić Sulejmanowi o śmierci jego uczniów. Prorok ten był obdarzony od Ałłaha cennym darem porozumiewania się właściwą mową ze wszystkiemi ptakami.

Wysłuchawszy zatem bolesnej wieści bocianów, rozkazał im porozlatywać się natychmiast na wszystkie strony i pozwoływać do niego wszystkie ptaki tegoż samego co i one gatunku, z całej kuli ziemskiej.

Legenda opowiada, iż kiedy to długonogie, skrzydlate wojsko, stawilo się na rozkaz Sulejmana, całą przestrzeń powietrzną pomiędzy Mezdą i Murzukiem zaległa tak głęboka ciemność, jak podczas jesiennej burzliwej nocy. Ale co gorsze, każdy z tych bocianów, mścicieli, na rozkaz proroka unosił w dziobie kamień, mający następnie upaść na głowę jednego z zabójców i gęstym gradem zasypać ziemię Dżinów. W ten sposób ukamienowani mordercy wyginęli co do nogi, dusze ich zaś zostały na całą wieczność zamknięte w pustyni Kummady. Wieść o tej cudownej zemście rozeszła się na skrzydłach wiatru aż do najodleglejszych kończyn Afryki i unieśmiertniła imię Sulejmana, na cześć którego wdzięczni sąsiedzi postanowili cdtąd obchodzić corocznie wielką uroczystość bocianów.

Przytoczona tu legenda, a raczej bajka afrykańska, musiała powstać prawdopodobnie z jaki-goś wypadku, uwieńczonego zwycięstwem, nad którymś z lądowych, lub morskich rozbójniczych plemion, na jakich nigdy nie zbywało w okolicach Tripolisu. Bądź co bądź grób owego Sulejmana, proroka, w miejscowym meczecie jest przedmiotem czci dla jego współwyznawców, a w dniu 20 listopada, odbywa się corocznie uroczystość bocianów, rozpoczynająca się od wystrzału armatniego, na murach fortecy. Wówczas to ukazuje się ponad miastem całe stado ułożonych w tym celu bocianów, z gałkami miękiego ciasta w dziobach, na pamiątkę owych kamieni, co miały niegdyś pozabijać na rozkaz proroka, całe plemię

Ben-Ihebrów. Widok ten pobudza do niesłychanych okrzyków zapалу całą okoliczną ludność. Miejscowi wraz z pielgrzymami cisną się do meczetu, poczem następują zabawy ludowe, złożone z przedstawień kuglarzy, siłaczy, zaklinaczy węzów, ludzi lykających kawałki rozpalonego żelaza, oraz innych tego rodzaju sztukmistrzów, zbierających się na ten dzień do Tripolisu, z rozmaitych stron Azji i Afryki.

## GEORGINIE.

Jakież to kwiaty pyszne, wspaniałe,  
Dziś się najliczniej nam wdzięczą,  
I nad skabiozy, astry nieśmiałe,  
Korony żółte, czerwone białe,  
Wznoszą z przecudnych barw tęczę?

To georginii nadobne kwiaty,  
Ostatnia chluba jesieni!  
One to ziemi haftują szaty,  
W gwiazd różnobarwnych deseń bogaty,  
Nim je mróz, w całun zamieni.

Serca ich złote, lica promienne,  
Płoszą dziś wróżbą złowieszczą,  
Gdy matkę - ziemię, w mroki jesienne  
Smutną, przez wdzięki ciesząc niezmiennie,  
Zarazem stroją i pieszczą.

To też gdy ostry chłód je przycisnie,  
I perły posypią szronu,  
To się w łzę każda perła rozprysnie,  
A w łzę się promień słońca przecisnie,  
Nadzieją zdobiąc czas skonu.

I ta nadzieja w chwilę żalosną,  
Tą myślą przyjdzie je zbroić:  
Że ich korzenie odżyją z wiosną,  
I znów nad ziemię lodyżki wzrosną  
By w liść i kwiat się przystroić.

E. I.

## SERBSKA DZIEWCZYNA.

POWIEŚĆ Z DZIEJÓW SERBII W XIV STULECIU

przez

Teresę Jadwigę.

(Ciąg dalszy).

Wtem zbudziła się: Już słońce krwawo zachodziło na niebie, kruków krakania nie słyhać, więc się zerwała i pobiegła na wieżę. Wygląda, wyteża wzrok. Wszędzie pusto.  
— To był tylko sen — szepnęła — Bogu dzięki niechaj będą.

Naraz tuman kurzawy doleciał ją, spogląda w przestrzeń, widzi pędzącego jeźdźca.

— Będą wieści — zawołała i zleciała na dziedziniec w chwili właśnie, gdy wpadł nań jeździec. Milica poznała w przybyłym jednego z dworzan męża, starego Milutyna. Rannym był on, okryty krwią, zaledwie trzymał się na koniu i spadł z niego prawie bez duszy u stóp carowej.

Milica zawołała służebnych, sama z ich pomocą obwiązała mu rany. Sama obmyła twarz jego, wlewała w usta wino, aż gdy otworzył oczy spytała:

— Gdzie król! Czy on cię przysłał. Czyśmy zwyciężyli? Ale Milutyn zalał się łzami.

— Nie odstąpiłem cara Lazara, bronilem go własnymi piersiami, lecz Turków moc nas opadła, ranę ciężką mi zadał, padłem krwią zalany. Widziałem, jak car zachwiał się i stoczył z siodła na ziemię, jak jeden z pohańców odciął mu głowę szabłą.

— A nie wiesz co się stało z ojcem i braćmi moimi? — pytała dalej carowa — z Miłoszem Obyliczem, z Wukiem Brankowiczem, z synami starego Teterę?..

— Ojciec twój i bracia carowo, legli z chwałą, aż po strzemiona końskie krew płynęła rzeką gdzie leżą ich ciała; Miłosz zabił sułtana Amurata i rozsiekanym został, ale o Wuka nie pytaj mnie pani, on sprawcą naszego nieszczęścia, teraz może turbanem czoło przystroił i ucztuje z tymi, którzy nas rozbili. Mówił jeszcze Milutyn o synach Teterę, że dwaj starsi, jak on ranni, zemdleli na polu, lecz rosi poranna ouciła ich i dźwignęli się z ziemi, że najmłodszy walczył jak lew a potem nie wie co się z nim stało. Mówił o wielu junakach ale nie słuchała go Milica i zawodziła:

— Więc męża, ojca, braci, przyjaciół w jednym dniu straciłam; wszystkich, wszystkich miłych sercu, wszystko com kochałam!

Teraz cała Serbia we łzach i krwi tonęła, bo rodziny nie było, w którychby żałoba się nie rozpostarła; tam syna, tu brata, owdzie męża opłakiwano. Rozbiegły się po kraju zagony tureckie siejąc mordy.

Tetera i Maryca próżno wyczekiwali codziennie powrotu najmłodszych dzieci; a nie dość na tem i o najmilszego wnuka, o Stefana byli zaniepokojeni. Wojda i Miłosz powrócili obaj ciężko ranni, lecz Marek jeszcze nie przybył, ani też Milan. Starsi synowie Teterę mówili, że widzieli Milana, bez znaku życia leżącego na polu. Co się z Markiem stało nie wiedzieli. Prócz Marka brakło jeszcze Anki i Stefana. Gdy bracia na bóg odjechali, dziewczyna napaarla się, że pojedzie za nimi i póty błagała rodziców, aż ulegli w końcu.

— W domu jam nie potrzebna — mówiła, całując kolana ojca i matki — tam czuwać nad rannymi będę; jeśli w Marka, lub którego ze starszych braci strzała ugodzi, może zdołam wyrwać ich śmierci.

Wojda i Miłosz nie widzieli też siostry, i na pytania rodziny, co się z nią stało, nie umieli odpowiedzieć; przypuszczać należało, iż dziewczyna na pole Kosowe nie dotarła, może idąc spotkała w drodze jaki podjazd turecki i zabili ją pohańce, a może porwali i sprzedali komu jako niewolnicę. Z brwią zmarszczoną wysłuchał Tetera opowiadania starszych synów, lecz jednym słowem nie zdradził bólu, jaki szarpał jego sercem, nawet łza mu nie pociekła po twarzy. Błady i chmurny zamknął się w sobie, Maryca westchnęła ciężko i głową wstrząsnęła, szepcząc:

— Stało się, co się stać miało.

I modlić się zaczęła.

— Bądź wola Twoja Panie, mówiły jej usta, a bielmem zasłonięte oczy nieba szukały.

— Bóg tak chciał, sarkać przeciw Jego woli nie można — mówiła smutnie reszta rodziny. Dzieci płakały za Anką i Markiem, ale potem wróciły do swych zabaw, jeden Stefanek siadł zdala od nich ponury i czas jakiś ku wschodowi spoglądał; naraz podniósł się, zwrócił do braci i sióstr:

— Jeśli matka i ojciec zapytają o mnie, powiedzcie im, że na Kosowo poszedłem szukać Marka i Anki — rzekł tonem stanowczym.

Dzieci spojrzwały na niego przestraszone, on głowę odwrócił od nich i poszedł; pogonili za nim wzrokiem, widziały, jak maleje im w dali, jak coraz niewyraźniej rysuje się na tle horyzontu, aż wreszcie znikł im z oczu, lecz i teraz nie ruszyły się z miejsca, patrzyły ciągle w jeden punkt, tylko Jagoda rzekła:

— Jak ci się zdaje Jurku, czy on powróci z Anką i Markiem.

— Albo ja wiem — odparł chłopiec.

Wtem od przeciwnej strony doleciały jakieś dzikie, zmieszane gwary; zanim ktokolwiek w Sawicy mógł zgadnąć co one znaczą, w ulicy wsi rozległy się wołania pełne rozpacz:

— Turcy!

Wołania te dobiegły starego Teterę, w jednej chwili zapomniał o Marku, o Ance, wnuki i ranni synowie stanęli mu w myśli.

— Do lochu! do lochu! — począł krzyczeć, wypadłszy ze swej izby.

Cała rodzina skupiła się koło niego, on poszedł przodem, oni za nim, minęli dziedziniec, wpadli do ogrodu za domem się rozciągającym, na końcu ogrodu widać było gęste krzewy, tam powiódł wszystkich; odchylił gałęzie, ukazały się drzwi w ziemi, podniósł je, wszedł pierwszy, za nim żona, dzieci, wnuki i służba, drzwi się zatrzasły, on począł liczyć, czy są wszyscy.

— Stefana niema! — krzyknął.

I chciał biedz z powrotem, by szukać ulubieńca, lecz Jagoda zatrzymała go.

— Stefanek poszedł na Kosowe szukać Anki i Marka — rzekła.

Staremu ręce opadły, jęknął, zachwiał się i na ziemię runął; synowe rzuciły się cucić go, otworzył po chwili oczy.

— Panie, wierny Ci byłem, a wzięłeś mi najbardziej uniłowanych — szepnął ze skargą.

— I odda ci ich Pan — odezwała się Maryca — ufaj Mu i nie przestawaj chwalić.

Słowa te dźwignęły go, ukląkł i modlić się począł cicho, dzieci i wnuki otoczyły go, wszyscy razem powtarzali:

— Panie, Tyś wielki, Tyś potężny, zbaw nas, ulituj się nad nami...

A kiedy pod ziemią pokorna modlitwa plynie do Pana wszech rzeczy, na ziemi rozlegać się tymczasem poczęły coraz głośniejsze wrzaski Turków. Pała, niszczą, robią co zwykli czynić najeźdźcy; płonie dom Teterę, płoną wszystkie budynki otaczające i krwawą lunę rozpościerają na niebie.

Okrutni najeźdźcy, zabrawszy wszystko co zabrać się dało, szli dalej szerzyć zniszczenie po siólach serbskich i rozpacz w sercach ludzkich. Tymczasem na szczęście Stefanek nie spotkał się z nimi. Przejęty myślą odnalezienia Marka i Anki, chłopiec nie czuł zrazu znużenia, lecz po kilku godzinach nogi poczęły wypowiadać mu posłuszeństwa i głód zbudził się w nim dotkliwie, więc smutek i obawa opanowały serce dziecka: stanął, obejrzał się, nigdzie chaty, nigdzie ludzi, tylko daleko, daleko, na krańcu owych pól zważający mu krzyż wysoki, do tego krzyża iść począł, wiodł go jakiś instynkt, coś jak przecucie; pewno kierował nim palec Boży. Gdy kilka tylko kroków dzieliło go od krzyża, spostrzegł siedzącego pod nim starca z kijem sękatym w ręku, z sakwą u nóg, z lirą na ramieniu, więc bardziej jeszcze przyspieszył kroku i przeżegnawszy się przed krzyżem zapytał:

— Powiedzcie mi dziadku, czy daleko stąd na Kosowe pole? — zapytał przystanąwszy.

— Chcąc dojść pieszo nockę i dzień cały iśćby jeszcze trzeba — odparł dziad.

Chłopczyzna się zafrasowała.

— A czegoż ty tam chcesz? — zapytał go żebrak.

— Szukać Marka i Anki, którzy nie wrócili — odparł Stefanek — Marko poszedł bić Turka, Anka rannych opatrywać, gdzie są teraz nie wiemy.. Wrócił ojciec, wrócił starszy stryjek, a młodszy nie wrócił.

Przy tych słowach w czarnych oczach chłopięcia zaświeciły łzy, starzec pogłaskał jego ciemną główkę.

— Czyj ty? — zapytał.

— Syn Wojdy, wnuk Teterę z Sawicy.

— Wróc ty do domu, tam pewno płaczą po tobie chłopce, odprowadzę cię sam — rzekł lirnik — znam i szanuję Teterę; nie chciałbym, żeby wnuka jego, co złego spotkało.

— Nie wróćę, dziadku — odparł Stefan tonem stanowczym — odpocznę sobie, poproszę cię o chleba kawałek, bo mi się jeść chce, potem ruszę znowu w drogę; iść będę nockę całą i dzień cały, w końcu dojdę.

Stary dobył z sakwy kawałek chleba, podał go dziecku.

— Nie puszcza cię samego — rzekł — pójdę z tobą.

Stefanek począł jeść, chciwie, a gdy się posilił, położył się u nóg żebraka i usnął. Świegot ptactwa zbudził go o świcie, lirnik go nie odstąpił; siedział przy nim jak matka nad kołyską syna; gdy chłopiec oczy otworzył rzekł do niego:

— Zmów teraz pacierz, posil się, potem puścimy się w drogę.

Stefanek usłuchał starca, a gdy powstał od modlitwy, dostał znowu chleba i ruszyli ku polu Kosowemu. Szli cały ranek, a nie spotkali żywej duszy, minęli tylko kilka wiosek spalonych, świadczących, że tędy Turcy przechodzili, lecz człowieka ani jednego. W południe posilili się i odpoczęli, poczem znowu szli dalej; koło wieczora Stefanek uczuł się bardzo zmęczonym, ale nie skarżył się, tylko, gdy dotarli do niewielkiej olszynki, dziad zapuścił się w nią i powiedział:

— Tutaj nockę spędzimy.

On rzucił się na murawę i nie czekając na chleb usnął natychmiast i spał do jasnego dnia, aż stary budzić go musiał; ale za to, gdy wstał był żwawy i wesół, jak młody wróbel.

— Dzisiaj niezawodnie Ankę spotkamy, bo mi się śniła — rzekł, śmiejąc się do starego towarzysza.

— Sen mara, Bóg wiara — odparł lirnik, to mówiąc położył przed chłopcem kawał chleba i garść jagód na liściu łopuchy złożonych. — Posil się — dodał — jeszcze kawał drogi mamy przed sobą.

— Skądżeście to wzięli? — zapytał Stefanek, zjadając smaczne śniadanie.

— Nazbierałem, kiedyś spał — odparł dziad.

— Dobrzy wy bardzo jesteście dla mnie, gdy wrócimy do domu, poproszę ojca, byście w naszej chacie do śmierci zamieszkali — rzekł chłopiec — za dobroć dobrocią trzeba płacić.

Staruszek westchnął.

— Niechaj Bóg błogosławi ci za te słowa — szepnął.

Krwawą była bitwa, jaką Turcy roku 1389 w dzień św. Wita stoczyli z Serbami na polach Kosowa; jak okiem sięgnąć było można, tak widziało się tylko po odejściu zwyciężkich i pokonanych hufców, na rozległej równinie powalone na niej ciała ludzkie: trup przy trupie, moźni i biedni, Turcy i chrześcijanie leżeli pospołu jeden obok drugiego, lub nawet jeden na drugim, już pogodzeni...

Kilka dni przeszło po owej fatalnej bitwie; wschodzące słońce stroiło, jakby na wesole gody białe obłoki w rąbki złociste, skowronek nucił przed nimi hymn radosny na cześć Stwórcy, kruki i wrony zlatywały się z głośnym krakaniem ze wszystkich stron i spuszczały na pole, niektóre wyprawiały już tańce na ciałach śpiących snem wiecznym; wietrzyk łagodny budził tych, których ból obezwładnił, lecz śmierć nie objęła jeszcze kościstym swym ramieniem; dźwigali się ranni zwolna z ziemi i z przerażeniem spoglądali na skrzydlatą czarną rzeszę, gotującą się z hałasem do wstrętnej uczt; tu

i owdzie widać było czarne kałuże skrzeplęj krwi, którą słońce zwolna rozgrzewało i różowa posoka wydobywała się z pociemnionej pokrywy... Wtem ukazała się jakaś postać niewielka w błękitnej spódnicy, w koszuli suto haftowanej, w czerwonym pasie, z twarzą bladą i oczami smutkiem powleczone; w jednym ręku niosła ona kobialkę, drugą do czoła przykładała, zasłaniając wzrok od blasku promieni słonecznych od czasu do czasu przystawała i przypatrywała się uważnie leżącemu na ziemi, a gdy rannego spostrzegła, kłękała natychmiast przy nim, stawiała kobialkę na ziemi, dobywała z niej dzbanek, w którym uiała zimną wodę, płótno, jakieś maści i fiaskę z winem; obmywała rany z krwi, obwiązywała je płótnem namaszczonym maściami, potem fiaskę do ust rycerza przykładała.

— Pij bracie — mówiła głosem słodkim — gdy po krzepisz siły, wstaniesz i do domu wrócisz, do tych, którzy płaczą za tobą.

I tak przechodziła od jednego do drugiego brodząc w krwi, trupy omijając. Trzy dni już błądziła na pobojowisku, niosąc ulgę cierpiącym a szukając ukochanych. Już straciła nadzieję odnalezienia ich żywych lub umarłych, gdy naraz bladą twarz rumieniec okraślił.

— Milan, to on! — szepnęła, i przyklekła pełna trwogi przy jednym z leżących na polu, który dźwigał zwolna powieki. — Żyjesz! — zawołała, a w głosie jej brzmiało i szczęście i trwoga. — Żyjesz, powtórzyła, chyląc ku niemu twarz. To Bóg dobry natchnął mnie myślą szukania ciebie i brata, natchnął wytrwałością. On cię uratuje.

— Anka — szepnął zdumionym głosem, poczem głowa jego napowrót opadła i oczy się zwarzyły.

Anka nie straciła jednak otuchy.

— Odnalazłam cię, to i do życia powrócę — rzekła i poczęła ochładzać twarz zemdlonego zimną wodą, w usta wlewać mu wina i dźwignął się Milan powtórnie z ziemi.

— Co ty tu robisz? — zapytał.

— Za wami pociągnęłam, by rannych ratować — odparła Anka — w chacie jam niepotrzebna nikomu, tutaj przyszedłam się niejednemu... A i tobie ulgę zaraz przyniosę, widzę, masz ranę w ramieniu.

To rzekłszy zajęła się opatrywaniem, on poddał się jej powolnie, a gdy skończyła, rzekł:

— Bóg zapłać ci siostrze, zdaje mi się, iż będę mógł iść. Schowamy się gdzie do dobrych ludzi, a gdy sił nabiorę odprowadzę cię do domu.

Lecz Anka wstrząsnęła przecząco głową.

— Nie wróćę ja do domu Milanie, póki Marka nie znajdę — rzekła — powrócili starsi bracia lecz nic o nim nie wiedzieli, nie wiesz, gdzie go szukać?

Milan westchnął ciężko.

— Tutaj nie znajdziesz go, siostrze — rzekł — éma Turków nas opadła, nie odstępowadłem go, pierściami własnymi zasłaniałem, lecz jeden z pohańców zadał mi cios w ramię tak silny, iż stoczyłem się z konia na ziemię; padając, widziałem jak ci niegodziwcy zarzucili pętlę w około jego ręk i pociągnęli za sobą.

(d. c. n.).

#### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10** NOWY.

**TREŚĆ:** Życie w oceanie przez Dr. M. Stefanowską (z ryc.) — Odzyskany, powieść p. Maryę Łopuszańską. — Uroczystość bocianów (z ryc.) — Georginje, wiersz przez E. L. — Serbska dziewczyna, powieść z dziejów Serbii w XIV stuleciu przez Teresę Jadwigę. — **Dodatek:** Posłuszny słownik, wiersz przez E. L. (z ryc.) — Opowiadanie dziadunia przez H. Go-t. — Zwierciadło przez A. R. — Mali Robinsonowie w skałach nadmorskich, przełożyła M. B. — Łamigłówni, rozwiązania. — Skrzynka do listów. — **Dodatek** książkowy: Robinson kanadyjski, przekład P. Gr.



# WIECZORY RODZINNE

## POSŁUSZNY SŁONIK.



Nie masz tak wielkiej w świecie urody,  
Coby się mogła obejść bez wody.  
Czystość każdemu wdzięku dodaje;  
Przez nią się szpetny ładniejszym staje,  
A ładny, bierze korzyść dwoistą;  
Zwłaszcza, gdy przytem duszę ma czystą.  
I matka słonia, między innemi,  
Musiała o tem słyszeć na ziemi.  
Bo choć jej synek ciężki z natury  
I brzydki... nie dziw, bo grubo-skóry.  
Pragnąc mu nieco dodać urody,  
We własnej trąbie przyniosła wody.  
A słonik choć się tem nie zachwyca,  
Stoi w wanience, biorąc prysznica.  
Bo zdala odeń taka myśl zdrożna,  
By się w czym matce sprzeciwić można.  
Cóż to za dobre, pocziwe zwierzę!  
Niechajże każdy zeń przykład bierze.

F. L.

## Opowiadanie dziadunia.

—

— Dziadziu, dziadziu! — wołali naprzemian Michaś i Janek, biegnąc do staruszka, który siedział na fotelu przed werendą; patrz, jakiego ślicznego motylka udało nam się pochwycić w lesie.

— Bardzo ładny — odparł dziadek — ale nie męczcie go dzieci, niech sobie fruwa.

— Ale dziaduniu złoty, myśmy go chcieli zachować do zbioru, który w czasie wakacyi postanowiliśmy sobie urządzić.

— Nie, dzieci, to brzydka zabawa męczyć żyjące stworzenia — szepnął cicho staruszek, tłumiąc westchnienie.

— Ależ to wcale nie zabawa — zawołali chłopcy — jeszcze w Warszawie widzieliśmy takie zbiory w gabinecie zoologicznym, a tatuś nam mówił, że te owady zbierali ludzie, którzy skończyli uniwersytet.

— Słuchajcie dzieci — rzekł smutnie dziadunio — opowiem wam coś, co zmieni może wasze przekonania. A teraz puśćcie motylka, niech również, jak i wy, cieszy się słońcem i zielenią, a później, jeśli zechcecie, będziecie

— mogli pochwycić niejednego taki okaz do zbioru, bo jest to gatunek bardzo pospolity, a zwie się dla swych jaskrawych barw, ognikiem.

Janek roztworzył rękę, i motylek uleciał w powietrze, a potem obaj chłopcy usiedli na trawie, obok fotelu dziadunia, który tak zaczął:

— Byłem wtedy w waszym wieku, kiedy znałem chłopca, który również chciał mieć zbiór motyli. Nie zastanawiał się nad tem, że Bóg zakazał krzywdzić choćby najmniejsze stworzonko, bo On lada okruszynką opiekuje się i pamięta o niej.

Raz chłopczyk ten pochwycił ślicznego, polnego konika. Zabił go eterem, włożył na szpilkę i przymocował do dna pudełka, a że to był wieczór, więc spokojnie spać się położył.

Dziadunio zatrzymał się chwilę i siedział bardzo smutny. Dzieci odgadły, że opowiada swoje własne dzieje, ale przeczyły również, że nie powinny go pytać o to.

— Kiedy nazajutrz — mówił dalej — wstał wesół

i uśmiechnięty zajrzał do pudełka, Boże! com tam zobaczył, na szpilce poruszał się jeszcze żywy konik polny, — i oczy dziadunia zamglily się łzami.

— Nie, dziadziu, to być nie może — zawołał młodszy Michaś — przecież konik był już nieżywy.

— Nie, dziecko, eter widocznie uśpił go tylko, a przebudził się potem, przebity. Pomyślcie tylko, co cierpiał ten chłopczyk, który miał dobre serce, a przyczynił niewinnemu owadowi najstraszniejsze męczarnie przez swoją nierozwagę i lekkomyślność.

— Jakie to straszne, dziaduniu — zawołał Janek, który mając bujną wyobraźnię, wystawił sobie, coby to było, gdyby jego ktoś przebił żelazem!

— Nie, dzieci — zakończył dziadunio — zbierajcie sobie kamienie i rośliny, są to również piękne zbiory, a nie tykajcie stworzonek, które nic wam złego nie zrobiły, bo to grzech ciężki.

Nie trzeba dodawać, że Janek i Michaś ani pomyśleli o zabijaniu niewinnych owadów i wesołych motylków; nie zaniedbali oni jednak skorzystać z rady dziadunia i zbierali kamyki, ucząc się ich nazw, zbierali i suszyli kwiatki, odmiany mchów i porostów. Dopomagał im w tem chętnie dziadunio. Janek rozróżniał teraz krzemienie od kwarców i piaskowców, a nazwy motylków wymieniał im dziadek, kiedy spokojnie siedziały sobie na kwiatkach i piły słodki sok. Nauczyli się poznawać ognika, żałobnika, nazwanego tak z powodu czanej obwódki dokoła skrzydeł, kapuśniaczka żółtego, lub zielonego jak kapusta, pazia królowej o pysznych barwach i wiele innych, a jednak nietylko nie zabili z nich ani jednego, ale nawet nie chwyłali do ręki, bo dziadunio objaśnił ich, że motyle mają skrzydła pokryte bardzo delikatnym pyłkiem, który łatwo zetrzyć palcami, co, rozumie się, nie wpływa dodatnio na zdrowie tego miłego owada.

*H. Go-t.*

## ZWIERCIADŁO.

BAJKA.

Mała Ludwinia przeglądała się raz w zwierciadle, a było ono tak piękne i błyszczące, że z przyjemnością gładziła je paluszkami i uśmiechała się z zachwytem. Zwierciadło natychmiast odbijało jej obraz. Dziewczynka otworzyła buzię, obraz zrobił to samo, jakby chciał mówić. I cudowne zwierciadło przemówiło.

Zdziwione dziecko nadstawiło uszka, i oto co usłyszało:

— Odbijam twój obraz zawsze takim jak jest, nie oszukuję nigdy, nie pochlebiam ci, gdyż kłamać nie umiem. Gdy jesteś w złym humorze, gdy płaczesz lub grymasisz, przejrzyj się w lustrze, a ja powiem ci zawsze: Jesteś brzydka, otrzyj prędko łzy i uśmiechnij się.

Jeżeli rano zapomnisz się umyć i uczesać, powiem ci: jesteś brudna, szukaj prędko wody i szczotki.

Widzisz więc, jestem użyteczne.

Gdybyś jednak żyła dawniej, uie znalazbyś mnie wcale. Dawnym ludziom lusterko zastępowała woda

w czystym strumyku, ale najmniejszy wietrzyk mógł ją zmącić. Później robili sobie zwierciadła z gładzonego metalu, z miedzi, ze stali, niekiedy nawet ze srebra i złota. Najkosztowniejsze jednak złote zwierciadło, nie mogło odbić tak wiernie obrazu, jak szkło.

Zapewne, nie mam takiej wartości jak złoto, jestem tylko mieszaniną skromnego piasku i sody, które stopiono na ogniu, potem mieszaninę tę za pomocą walca rozciągnięto na stole cienką warstwą, a gdy zakrzepła, stała się szklaną taflą.

Pomimo skromnego pochodzenia, nie jestem, jak widzisz, bez wartości.

Pokazuj mi, dziecko, buzię czystą i pogodną, a obraz w zwierciadle uśmiechnie się do ciebie zawsze tak, jak w tej chwili.

*A. R.*

## Mali Robinsonowie w skałach nadmorskich.

przełożyła *M. B.*

(Dalszy ciąg).

Odtąd codziennie po południu Melcia była wzywana do gabinetu pana i na przemiany czytając i rozmawiając, spędzała tam parę godzin, a pan Dumany z dniem każdym przywiązywał się coraz więcej do swej małej lektorki.

Pani Dumany natomiast trwożyła się coraz bardziej myślą o przyszłości, w której przewidywała już wydziedziczenie swego syna i przejście ogromnego majątku brata mężowskiego, na te bezdomne, na drodze znalezione dzieci.

— Dla czego to Melcia nigdy do mnie nie przychodzi? — zapytała pewnego razu Hortensyi, a widząc, iż ta bardzo zdziwiona jej pytaniem z pewną podejrzliwością na nią spogląda, dodała: — Bo wiesz, moja pocziwa Hortensyo, że i mnie to dziewczętko zaczyna żywo interesować. Możesz odejść, przyslij mi tylko Melcie.

W kilka chwil później zjawiała się dziewczynka z dużym koszykiem bielizny i pełna nieśmiałości zaczęła ją wkładać do komody.

— Dla czegoż to nigdy do mnie nie zajrzysz? — rzekła pani Dumany. — Ani mój szwagier ani pan Andeo nie mogą ci udzielić tak dobrych rad, jak ja. Podobno macie jakąś ciotkę w Paryżu, do której dążyliście, mieliście rację, szukając jej, bo to jedyna krewna, jaka wam została.

— Tak proszę pani, to siostra mamy...

— No, to będzie dla was drugą matką. Czemuż więc nie udajecie się do niej do Paryża?

— Nie mamy wcale pieniędzy.

— Pieniądzy ja wam udzielenę... A pomyśl tylko, że przyszły rok będziesz przystępowała do pierwszej komunii, jakże to przykro i smutno odbyć tę uroczystość bez nikogo z rodziny.

— Ale, proszę pani, gdybym odeszła, gdybym opuściła pana Dumany, cóżby on na to powiedział?

— On! a cóż wy dla niego jesteście? jesteście obcy-  
mi, których przez dobroć serca przyjął pod swój dach.  
Jeżeli obiecasz mi, że nie zdradzisz tego co powiem, to  
wyznam ci, co do mnie mówił przed paru dniami. Otóż  
mówił mi: kochana Amelio, czemu nigdy nie porozma-  
wiasz z Melcią, to dobra, rozsądna dziewczynka; mogła-  
byś jej poddać myśl odszukania swej ciotki. Przyjmując  
ich do siebie nie miałem zamiaru zaopiekować się nimi  
na zawsze i chętnie dałbym im małą sumkę, potrzebną  
na podróż do Paryża...

— Pan Dumany mówił tak do pani? — zapytała  
Melcia blednąc.

— Mówił napewno.

— A mnie zapewniał, że zostaniemy u niego.

— To pewnie zmienił zdanie, albo wolał, żebym ja  
chęć jego wam wyraziła. W ten sposób projekt waszego  
odjazdu wyjdzie od ciebie.

— A kiedyż mamy odjechać?

— Za tydzień mniej więcej, tylko przyrzeknij mi,  
Melciu, że mnie nie zdradzisz.

— Przyrzekam — rzekła Melcia z płaczem — i po-  
słucham panią, choć to będzie dla mnie strasznie smu-  
tnem...

— No, nie płacz, nie płacz, i pamiętaj zachować ta-  
jemnicę.

Melcia wyszła, a pani Dumany została z obawą w du-  
szy, czy dziewczynka nie powtórzy ich rozmowy szwa-  
growi, bo wówczas przeczuwała, że gniew jego będzie  
straszny. i że gotów się na nią obrazić na zawsze. Ale,  
pocieszała się w myśli, Melcia przyrzekła przecież, że jej  
nie zdradzi, a obecność tych dzieci mogła się stać niebez-  
pieczną dla niej i dla jej syna.

Biedna Melcia z płaczem rozmyślała nad przyszłością  
swoją i Iwonka. Rzucać ten dwór, tych ludzi, których  
tak pokochała, wydawało się jej szczytem nieszczęścia.  
Ale, uwierzywszy słowom pani Dumany, czuła, że nie  
może dłużej być ciężarem w obcym domu i postanowiła  
rozmówić się z panem Dumany według rady jego bra-  
towej.

Nazajutrz po obiedzie przed zaczęciem zwykłego  
czytania, Melcia odezwała się w ten sposób:

— Chciałam powiedzieć panu... nam trzeba już je-  
chać do ciotki..

— Co, cóż to znowu za pomysł? — ofuknął pan Du-  
many.

— Ciotka to jedyna nasza krewna, nie mogłabym  
odbyć bez niej pierwszej komunii; to siostra mamy.

— A znasz ty ją?

— Nie, ale pewnie będzie jej przyjemnie nas zo-  
baczyć...

— A więc chcesz dla krewnej, której nie znasz na-  
wet, której nigdy nie widziałas, opuszczać mnie, który  
cię przyjąłem tak serdecznie... Widzę, że i ty dasz mi  
uczucie tę wadę, której najbardziej nie znoszę...

— Ach, panie! — szepnęła Melcia.

— No dobrze, jeśli chcesz jechać, to jedź sobie, ale  
niech wprzódy napiszę do Paryża i dowiem się czego  
o tej ciotce, może nie żyje już. Jakże się nazywa?

— Marya Crouzillat.

— Gdzie mieszka, czem się zajmuje?

— Nie wiem.

— Więc cóż ty chcesz robić w Paryżu, w mieście,  
gdzie mieszka dwa miliony ludzi!

— Ale... proszę pana...

— Ruszaj sobie tymczasem, nie jesteś mi potrze-  
bną — rzekł pan Dumany, a Melcia, zasmucona i tak  
przybita, że ledwie się trzymała na nogach, wyszła z po-  
koju, dziwiąc się tylko, dla czego pan Dumany, który wed-  
ług zapewnień pani Dumany pragnął ich odjazdu, wyda-  
wał się zagniewany na nią i nazwał niewdzięczną. Nie-  
wdzięczną! tego tylko brakowało, niewdzięczną ona,  
któraby życie swoje za niego oddała.

Kiedy Melcia powiedziała Iwonkowi, że muszą wkrót-  
ce opuścić Landes, chłopczyk się rozplakał i nazwał ją  
także niewdzięczną.

— Nie, mój braciszku — rzekła Melcia — nie jestem  
niewdzięczną, nie mogę być tu dłużej ciężarem i mam  
obowiązki względem ciotki. Zresztą ty możesz pozostać,  
może to byłoby nawet lepiej.

— Melciu, Melciu, jakaś ty zła siostra. Przecież  
wiesz, że ja cię nie opuszczę, choćbym miał znowu  
zemdleć na drodze. Ach, my nieszczęśliwi!

W czasie lekcji pan Andeo spostrzegł smutek dzie-  
ci i dowiedział się od Iwonka o nagłym postanowieniu  
Melci. Zmartwił się niezmiernie, gdyż był szczerze przy-  
wiązany do tej młodej pary, a zmartwił się tembardziej,  
że chęć opuszczenia gościnnego domu przypisał zrazu  
pragnieniu poznania dużego miasta i oswobodzenia się od  
lekcji oraz poważnego trybu życia w Landes. Wkrótce  
jednak zmienił pod tym względem swoje zdanie z wiel-  
kiem zadowoleniem.

Przez kilka dni następnych Melcia bladła i smutnia-  
ła coraz więcej.

Pewnego ranka Iwonek wszedł po cichutku do po-  
koju pana Andeo i rzekł do niego z poważną minką:

— Mam panu coś ważnego do powiedzenia...

— Cóż takiego?

— To się tyczy mojej siostrzyczki.

— Powierzyła ci swoją tajemnicę?

— Nie, proszę pana, ale może domyślimy się razem,  
dla czego ona pragnie stąd wyjechać. Wczoraj wieczo-  
rem, była blada, jak płótno, i nie zeszła po mnie do  
kuchni. Kiedym poszedł na górę, spała, ale takim dzi-  
wnym snem. Oddychała ciężko, powieki miała czerwone  
i słyszałem, jak mówiła przez sen:

— Pani, on powiedział, że my zostaniemy... nie, nie,  
jedźcie, on tego chce, on nie chce mieć obcych w Landes.  
A wydawało się, że cierpi mówiąc te słowa, a żem ją pocią-  
gnął za rękę, ale ona, nie poznając mnie mówiła znowu:  
Pojadę, gdy pan mnie wypędza... Tak pani, będę ci po-  
słuszna.

(d. e. n.)



ZAGADKA.

Pewno żadnego nie zdziwi człowieka,  
 Że z rzeki może być ryba.  
 Leczą, że naodwrot z ryby będzie rzeka,  
 Nie każdy o tem wie chyba.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

ułożyła Zofia T.

Z następujących sylab: a—an—ar—ar—che—da—do  
 dom—gan—ka—kan—kon—log—ma—me—mi—mo—ni  
 —nik—o—pia—ra—rad—ry—zas—su—tra—twer—tor—  
 wa—ułożyć wyrazy, którychby początkowe litery z góry  
 na dół i końcowe w odwrotnym kierunku utworzyły nazwę  
 wyspy jednej z największych na świecie. Znaczenie  
 wyrazów: 1) Nazwa łac. okrętu opancerzonego. 2) Miasto  
 portowe w Belgii. 3) Imię męskie. 4) Odnoga rzeki Mis-  
 sissipi. 5) Miasto w Belgii. 6) Badacz starożytności. 7) Je-  
 dna z wysp Zundzkich. 8) Imię księcia Mazowieckiego.  
 9) Część świata. 10) Miasto gub. w Królestwie polskiem.

ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

Terkotka dla wesołej Figlarki.

- |                       |                                    |
|-----------------------|------------------------------------|
| 1 . . . . .           | W kwadracie z 5-ciu przedziałek,   |
| . 2 . . . . .         | ułożyć wyrazy, aby litery oznaczo- |
| . . 3 . . . . .       | ne liczbami złożyły nazwę cesarza  |
| . . . . 4 . . . . .   | Rzymu. Znaczenie wyrazów: 1)       |
| . . . . . 5 . . . . . | Bogacz indyjski. 2) Imię męskie.   |
|                       | 3) Wyspa na morzu Jońskim. 4)      |

Drzewo z rodziny palm. (5) W mitologii greckiej jeden  
 z prastarych bogów-olbrzymów. Sylaby: — bab — fu — ko  
 — kor — nus — na — tan — kos — ty — we.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 35-go:

Szarady: Ka — ra — wa — na.

WIERSZE Z PROZY.

Łaskawe życia naszego szafarki,  
 Ciągną nić złotą pracowite parki,  
 Na wrzcioneczkach żywo namotają;  
 Dni nasze w złote kłębki nawijają.

A gdy już przędzy nie stanie srebrzystej,  
 To przetną pasmo, i w drodze wieczystej  
 Wnet się człek ujrzy; ten szczęśliwy zasie,  
 Kto żył dla ludzi dobrze w swoim czasie.

I jako na świat przyszedł — tak i schodzi  
 Czysty, jako się sprawiedliwemu godzi.  
 A świat był jemu płomieniem ognistym,  
 Z którego żywot jak żelazo czystym  
 Wypłynął w wieczność, tam gdzie ojce, dziady,  
 Przeszli pocichu na wspólne narady.

T. L.

N  
 N o s  
 W i s ł a  
 M o n o l o g  
 N o s o r o ż e c  
 K o l o n i a  
 Ł ó ż k o  
 R e n  
 c

Skrzynka do listów.

Długi list *Zosiuni* odczytaliśmy z prawdziwą przyjemnością,  
 tak ładnie i starannie napisany. Widać, jak Zosia kocha swą  
 mamę skoro mimo, że nie lubi dłużej spokojnie posiedzieć, jednak  
 w tak krótkim stosunkowo czasie zdołała znacznie poprawić swe  
 pismo. Nie wątpimy też, że była to najmiłsza dla mamy niespo-  
 dzianka, a dobrej córeczce życzymy, by na całe życie zachowała tę  
 silną wolę w spełnianiu dobrych postanowień.

Stosownie do życzenia *Elzy G.*, Wieczory pod dawnym adre-  
 sem przesyłane będą. W rozwiązaniu łamigłówek sylabowej znale-  
 ziliśmy małą pomyłkę w nazwisku poety, używającego niegdyś pseu-  
 donymu Syrokouli, nazywa się on Kondratowicz.

Miło nam, że *Maksymilian* i *Edward* z D. zdobyli się wre-  
 szcie na odwagę napisania do Redakcyi, gdy się bowiem przekona-  
 ją, że stosunek z nami łatwy i przyjacielski, mamy nadzieję, że  
 pozyskamy w nich stałych korespondentów.

*Paulinka C.* do prośby swojej o przysłanie zaginionego nu-  
 meru zapomniała dołączyć adresu, o co wielokrotnie prosiłszy już  
 naszych czytelników.

Przyjemną nam była odezwa *Pliszki*, znanej nam już z da-  
 wniejszych liścików. Nie wątpimy też, że kochana Pliszka musi  
 być porządną osobką która umie ład w rzeczach i papierach swoich  
 utrzymać, a tem samem nie gubi z własnej winy numerów Wieczo-  
 rów. Porządek bowiem stanowi konieczny warunek dobrego wy-  
 chowania, o którym nie wątpimy z uprzejmości z jaką Pliszka po-  
 zdrawia wszystkich współpracowników Wieczorów. Za życzliwą  
 pamięć dziękujemy i donosimy, że cena pojedynczego numeru  
 Wieczorów wynosi kop. 10.

Odebraliśmy robotę konkursową *Anielci* z Sosnowca, a z jej  
 listu przekonywamy się, że jest nietylko pracowitą, ale i sumienną  
 panią, skoro otwarcie przyznaje, że dziurki w sukience obra-  
 biała mama, gdyż tego jeszcze sama zrobić nie potrafi. Niech  
 Anielcia tak dalej postępuje, a zjedna sobie w życiu łaskę Bożą  
 i szacunek ludzki.

Koszulkę uszytą przez *Wisienkę* dołączyliśmy do robót kon-  
 kursowych, a jakakolwiek mogłaby się okazać niedokładność w szy-  
 ciu, nagradza ją skromność z jaką Wisienka wyraża się o swej  
 pracy.

Dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma, przypominamy o odo-  
 wieniu opłaty na kwartał IV-ty za:

„WIECZORY RODZINNE,”

które wychodzić będą pod temi samemi co dotąd warunkami  
 i w tymże samym kierunku:

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 4, półrocznie  
 rs. 2, kwartalnie rs. 1. — Na prowincyi rocznie rs. 5, półrocznie  
 rs. 2 kop. 50, kwartalnie rs. 1 kop. 25. — We Lwowie i Krakowie  
 kwartalnie złr. 2. — W Poznaniu kwartalnie m. 3.